

RAYMOND RADIGUET.

DJABEŁ WCIELONY.

7)

Powieść w tłumaczeniu Czesława Bobrowskiego.

Jakób powróci kiedyś wreszcie. Jak tylu innych żołnierzy zdradzonych wskutek nienormalnych okoliczności, odnajdzie małżonkę smutną i uległą, nie będzie mógł się domyśleć niczego co zaszło przed jego powrotem. Ale dziecko? Jego urodzenie będzie tylko wtedy usprawiedliwione, jeżeli Marta zgodzi się znieść pieśczoły Jakóba podczas najbliższego z nim widzenia. Poprosiłem ją o to, obawiając się przykrych konsekwencji.

Scena ta była jedną z najdziwniejszych i najprzykrzejszych jakie między nami zaszły. Byłem jednak zdziwiony słabym oporem Marty. Wyjaśnienie znalazłem dopiero później. Marta nie miała odwagi przyznać się do zwycięstwa Jakóba podczas ostatniego jego pobytu i udając posłuszeństwo, w duchu liczyła, że w Grauville będzie mu się mogła oprzeć, pod pretekstem jej stanu. Realizację mego planu utrudniały daty; ich rzekomą zbieżność musiał wyjaśnić połów, nie pozostawiając żadnych wątpliwości. Pocieszałem się: „Mamy czas. Rodzice Marty będą się obawiali skandalu, zabiorą ją na wieś i opóźnią wiadomość”.

Dzień wyjazdu Marty nadchodził. Błogosławiłem jej zbliżającą się nieobecność. Okres ten miał być próbą. Miałem nadzieję, że wyleczę się z miłości i uwolnię od Marty. Wiedziałem że, gdyby moja miłość okazała się jeszcze za młoda i za silna, to w tym wypadku będę miał możliwość powrócenia i odnalezienia Marty, równie wiernej.

Marta wyjechała 12 lipca o siódmej rano. Poprzednią noc spędziłem w S... Idąc do niej postanowiłem, że nie zmrużę oka przez całą noc. Obiecywałem sobie taką ilość pieśczoł, która pozwoliłaby mi się obejść bez Marty w ciągu dni następnych.

W kwadrans po położeniu się do łóżka zasnąłem. Zazwyczaj sąsiedztwo ciała Marty zakłócało mój sen. Teraz po raz pierwszy spałem obok niej tak jakgdybym sam był w łóżku. Kiedy się obudziłem, Marta już była ubrana. Nie odważyła się mnie obudzić. Do odejścia pociągu zostało już tylko pół godziny. Byłem wściekły, że przespałem ostatnie chwile spędzane razem. Marta płakała na myśl o zbliżającym się rozstaniu. A przecież krótki czas, który nas dzielił od jej wyjazdu wolałbym spędzić inaczej niż ocierając łzy!

Marta zostawiała mi klucz; błagała żebym nie zapominał o niej, przychodził do jej mieszkania i pisywał listy do niej na jej biurku.

Przrzekłem sobie że nie będę jej odprowadzał do Paryża. Ale nie mogłem się oprzeć pokusie pocałunków, i choć postanowiłem sobie, że będę Martę kochał mniej, złożyłem to wszystko na karb pożegnania. W rzeczywi-

stości wiedziała, że koniec miłości mógłby nastąpić tylko wtedy, kiedy Marta przestałaby mnie kochać. Na dworcu Montparnasse, gdzie mieli ją spotkać rodzice Jakóba, nie mogłem się powstrzymać od pocałowania jej.

Wróciłem do F.. Moje dotychczasowe życie w domu było jasnym i nudnym oczekiwaniem chwil pójścia do Marty. Teraz musiałem znaleźć jakiekolwiek zajęcie, rozrywkę. Kopalem w ogrodzie, próbowałem czytać, bawiłem się z siostrami w chowanki, co nie zdarzyło się od pięciu lat.

Wieczorem musiałem iść na spacer, jak codzień, aby nikt się nie domyślił prawdziwego celu mojej przechadzki. Zwykle droga nad Marne wydawała mi się krótka. Tego wieczoru, wlekłem się, z biciem serca, potykając się o kamienie. Leżąc na dnie barki po raz pierwszy zapragnąłem śmierci. Ale byłem równie niezdolny umrzeć, jak żyć, więc oczekiwałem łaskawego zabójcy. Żałowałem, że nie można umrzeć z nudy ani z męki. Myśli z cichym szmerem uciekały z głowy, jak woda z wanny. Ostatnia kropla — głowa jest pusta. Usnąłem. Chłód lipcowego świtu obudził mnie. Zmarznięty wracałem do domu. Drzwi były otwarte naróścież. W przedpokoju ojciec przyjął mnie szorstko. Matka była trochę niezdrowa; polecono pokojówce obudzić mnie i powiedzieć żebym poszedł po doktora. Moja nieobecność była więc jawna.

Zniosłem wszystko ze spokojem, podziwiając instynktowną dobroć sędziego, który z pośród tysiąca czynów nagannych wybrał jedyny niewinny, jakgdyby poto, żeby winowajcy dać możliwość uniewinnienia się. Nie usprawiedliwiałem się, zresztą byłoby to zbyt trudne. Pozwoliłem ojcu wierzyć, że wracam z l... i dziękowałem mu w duchu, kiedy zabronił wychodzić po obiedzie. W ten sposób jeszcze raz oddał mi usługę, uwalniając mnie od samotnej włóczęgi wieczorami.

Przez cały dzień czekałem na listonosza. To było moje życie. Nie byłem zdolny do żadnego wysiłku, któryby mi dał zapomnienie.

Marta dała mi nóż do przecinania papieru. Miałem go używać jedynie do otwierania jej listów. Ale czyż mogłem się nim posługiwać. Śpieszyłem się z nadto. Prostu rozdierałem kopertę. Za każdym razem ze wstydem postanawiałem nie otwierać następnego listu przez kwadrans. Miałem nadzieję, że w ten sposób odzyskam panowanie nad sobą i będę mógł nosić w kieszeni nieczytane listy Marty. Odkładałem jednak z dnia na dzień wykonanie tego bohaterskiego czynu.

Pewnego dnia zirytowany swoją słabością podarłem

nie czytając świeżo otrzymany list. Wiatr uniósł kawałki papieru, rozsiał po całym ogrodzie, musiałem je zbierać na czworakach. List zawierał fotografię Marty. Byłem przesądny, każdy drobiazg tłómaczyłem zawsze w sposób tak tragiczny, że podarcie tej fotografii, pogrążyło mnie w rozpacz. Byłem pewien, że jest to znak nieba. Wzburzenie moje uspokoiło się dopiero po czterech godzinach, kiedy nareszcie udało mi się skleić list i fotografię. Nigdy nie dokonałem takiego wysiłku. Tylko obawa, żeby Marcie nie zdarzyło się nieszczęście mogła skłonić mnie do wykonania tej mozolnej pracy.

Doktor zalecił Marcie kąpiele morskie. Oskarżałem się o okrucieństwo, a jednak zabroniłem jej, nie chciałem żeby ktoś prócz mnie widział jej ciało.

— Skoro Marta już koniecznie musi spędzić miesiąc w Grauville, to lepiej że jest z nią Jakób. Przypominałem sobie jego fotografię, którą mi Marta pokazała w „dniu mebli”. Nic nie przestraszało mnie tak jak młodzi ludzie, których Marta musiała spotykać na plaży. Zgóry uważałem ich za piękniejszych, silniejszych więcej eleganckich odemnie.

Mąż uchroni ją przed nimi.

Nieraz w przypływie czujności, jak piśak który całuje się ze wszystkimi, chciałem napisać do Jakóba wyznać, że byłem kochankiem Marty i z tego tytułu polecić mu opiekę nad nią. Czasami zazdrościłem Marcie że jest kochana przez Jakóba i przezemnie jednocześnie. Czy nie powinniśmy obaj wspólnie starać się dać jej szczęście? Chciałem poznać Jakóba, wytłómaczyć jak dobrze ułożyło się wszystko, wyjaśnić dlaczego nie powinniśmy być o siebie nawzajem zazdrośni.

We wszystkich listach Marta prosiła mnie, żebym zaszedł do jej mieszkania. Te prośby przypominały mi jedną z moich ciotek, dewotek, która wyrzucała mi zawsze, że nie chodzę na grób babki. Nie mam zamiłowania do pielgrzymek, nudnych obowiązków opartych na złudzeniu, że miłość i śmierć są, w jakiś sposób, związane z pewnymi miejscami.

Czyż nie można myśleć o zmarłej, o nieobecnej kochance, nigdzie poza cmentarzem lub pewnym pokojem? Nie próbowałem tego tłómaczyć Marcie i pisałem, że byłem w jej mieszkaniu, podobnie jak mówiłem ciotce, że byłem na cmentarzu. W końcu jednak poszedłem do domu Marty, ale w dość szczególnych okolicznościach.

Pewnego dnia spotkałem młodą szwedkę dawną przyjaciółkę Marty z którą ostatnio, pod presją opinii publicznej zerwała stosunki. Byłem tak osamotniony, że obcowanie z tą kobietą, i jej dziecięcy wdzięk sprawiały mi przyjemność. Zaproponowałem jej, żeby nazajutrz przyszła pokryjomu na podwieczorek do l... Żeby zapewnić sobie jej wizytę ukryłem przed nią nieobecność Marty, a nawet powiedziałem, że Martę uszczęśliwi jej wizyta.

Sam właściwie nie wiedziałem czego chcę. Postępowałem jak dzieci, które zawiązując nową znajomość, starają się nawzajem zadziwić. Nie mogłem oprzeć się chęci zobaczenia zdumienia, lub gniewu na anielskiej twarzyczce Swei, kiedy powiem jej o wyjeździe Marty.

Tak, bezwzględnie, chodziło mi o tę dziecinną przyjemność, o ile bowiem Swea, dzięki pewnego rodzaju egzotyzmowi zadziwiała mnie każdym zdaniem, o tyle ja nie byłem w stanie powiedzieć nic coby ją zaciekało. Wiele uroku naszej rozmowie dodawało to, że zaledwie mogliśmy się zrozumieć. Swea na szyi nosiła mały krzyżyk złoty z niebieską emalją, zwieszający się na dość brzydką suknię, którą, podczas rozmowy, przerabiałem w myśli. Wyglądała jak żywa laleczka. Gorąco pragnąłem powtórzyć to sam na sam, gdzieś indziej, niż w wagonie.

Swea wyglądała na wychowaną klasztornej internatu, z czym nie zupełnie licował sposób bycia typowej uczennicy szkoły Pigier, w której „studjowała” godzinę na dzień, zresztą bez wielkiego powodzenia, francuski i pisanie na maszynie. Pokazała mi swoje prace. Nie wyglą-

dały świetnie, co słowo, błąd, poprawiony na marginesie przez profesora. Z ohydnej torebki, bezwzględnie własnej roboty, wydobyła papierośnicę ozdobioną hrabiowską koroną. Poczęstowała mnie papierosem. Nie paliła, ale zawsze nosiła papierosy, ponieważ jej przyjaciółki paliły. Opowiadała mi o zwyczajach szwedzkich o nocy Świętojańskiej, o konfiturach z borówek. Potem pokazała mi przyslaną poprzedniego dnia ze Szwecji fotografię jej siostry bliźniaczki: nago, na koniu w cylindrze pradziadka. Zaczzerwieniłem się, a raczej zrobiłem się purpurowy. Siostra była do niej tak podobna, że przypuszczałem, że kpi sobie ze mnie i pokazuje mi swoją własną fotografię. Kąsałem wargi, żeby powstrzymać się od pocałowania tej naiwnej kusicielki. Musiałem mieć minę naprawdę bestjalską, bo zauważyłem, jak ze strachem szukała oczyma sygnału alarmowego.

Następnego dnia po południu Swea przyszła do mieszkania Marty na umówiony podwieczorek. Powiedziałem jej, że Marta jest w Paryżu, ale niedługo powróci. Dodałem: kazała bezwzględnie zatrzymać panią do jej powrotu. Liczyłem, że uda mi się udawać tak długo, póki nie spełnię swoich planów.

Na szczęście Swea była łakoma. Moje łakomstwo było zupełnie innego rodzaju. Nie miałem zupełnie ochoty na tartinki, ani na lody malinowe, ale chętnie zostałbym lodami lub tartinką, do której zbliżała usta. Mimo- wolnie wykrzywiałem usta.

Pożądałem Swei nie przez rozpustę, a przez łakomstwo.

Starannie wymawiałem każdą zgłoskę, chciałem żeby mnie rozumiała. Zwykle byłem małowimny, ale teraz podniecony tym wesołym podwieczorkiem, żałowałem, że nie mogę mówić prędzej. Czułem potrzebę paplania, dziecinnych zwierzeń. Przysunąłem ucho do jej ust. Piłem jej szczeciół.

Zmusiłem ją do napicia się likieru. Potem żał mi się jej zrobiło, jak ptaka, którego się upija.

Miałem nadzieję, że podniecona alkoholem będzie bardziej uległa. Było mi obojętne, czy odda mi usta dobrowolnie, czy nie. Czułem jak niewłaściwa była podobna scena w mieszkaniu Marty, ale powtarzałem sobie, że przecież ta cała historia zupełnie nie zmniejsza mojej miłości. Pożądałem Swei jak owocu, a o to kochanka nie może być zazdrosna.

Wziąłem ją za ręce, jakżeż niezdarne wydały mi się moje. Ach! gdybyż ją rozebrać i pieścić jak dziecko. Położyła się na kanapie. Pochyliłem się i zacząłem całować to miejsce na karku, gdzie jeszcze nie było włosów, ale już był miękki puszek. Nie wiedziałem czy pocałunki moje sprawiały jej przyjemność; znosiła je zapewne tylko dlatego, że nie mogła znaleźć odpowiedniego wyrażenia francuskiego, żeby odepchnąć mnie w grzeczny sposób. Leciutko kąsałem jej policzki oczekując, że ukaże się na nich, jak na brzoskwiniach, słodki sok.

Wreszcie wargi moje napotkały jej usta. Cierpliwa ofiara wciąż jeszcze znosiła moje pieszczoty, zamykając usta i oczy. Jedynym gestem odmowy było niezdecydowane odwracanie głowy na lewo i na prawo. Wiedziałem dobrze co oznacza ten ruch, ale moje usta znajdowały w nim złudzenie odpowiedzi. Tego, co odczuwałem w tej chwili ze Sweą nie odczuwałem nigdy z Martą. Opór Swei, który nie był oporem, pochlebiał mojej odwadze, choć nie przewyciężał lenistwa. Byłem dość naiwny, żeby sądzić, że i w dalszym ciągu będę miał do czynienia z łatwą zdobyczą.

Nigdy do tej pory nie rozbierałem kobiet; raczej sam bywałem przez nie rozbierany. To też zabrałem się do tego niezręcznie, zaczynając od pantofli i pończoch. Swea pozwoliła mi całować stopy i nogi. Ale kiedy zechciałem rozpiąć bluzkę, zaczęła się bronić jak djabełkowaty malec, który nie chce iść spać i którego trzeba

rozbierać siłą. Zasypała mnie gradem uderzeń i kopnięć. Chwytałem jej nogi w ruchu, zatrzymywałem i całowałem. W końcu poczułem przesyć jak łakomczuch po zbyt wielkiej ilości słodczy. Przyznałem się do podstępu i powiedziałem, że Marta była w podróży. Zmusilem Sweę do przyrzeczenia, że gdyby spotkała Martę nie wspomni o naszej schadzce. Nie powiedziałem jej wyraźnie że jestem kochankiem Marty, ale pozwoliłem domyślać się tego. Urok tajemnicy sprawił, że odpowiedziała, „do jutra” gdy, w istocie mając jej dosyć, zapytałem przez grzeczność kiedy się zobaczymy.

Następnego dnia nie przyszedłem do mieszkania Marty. Swea zapewne również. Czułem jak nagannem, z punktu widzenia moralności mieszczańskiej było moje postępowanie. Bez wątpienia Swea była dla mnie tak pociągająca tylko dzięki zbiegowi okoliczności. Czyż pożałobałbym jej gdzieindziej tak jak w pokoju Marty?

A jednak nie czułem wyrzutów. I jeżeli porzuciłem młodą szwedkę, to nie przez wzgląd na Martę a poprostu dlatego, że wydobyłem z niej całą słodczy jak nią dać mogła.

W kilka dni potem otrzymałem list od Marty. Znajdował się w nim również list gospodarza Marty. Starowina pisał z oburzeniem, że jego dom nie jest domem schadzki i opowiadał jaki użytek zrobiłem z klucza od mieszkania Marty. — Mam dowód twojej zdrady—dodała Marta. Pisała, że nie chce mnie już widzieć. Sprawi jej to wielkie cierpienie, ale woli cierpieć, niż być oszukiwana.

Wiedziałem, że te groźby wypowiedziane były tylko dla uśmierzenia bólu i że wystarczy byle kłamstwo, żeby ją uspokoić. Ale dotknęło mnie to, że zrywając zemną Marta nie mówiła o samobójstwie. Oskarżałem ją o brak uczucia. Uważałem jej list za niegodny odpowiedzi. I ja co prawda w sytuacji analogicznej, nie myślałbym o samobójstwie, ale uważałbym za swój obowiązek zagrozić niem Marcie. Byłem na tyle naiwny, że uważałem pewne kłamstwa za nakazane przez kodeks namiętności.

Nowe zadanie postawiła mi szkoła miłości, którą przechodziłem: usprawiedliwić się przed Martą i zarzucić jej jednocześnie, że miała więcej zaufania do gospodarza niż do mnie. Całą sprawę przedstawiłem jako nieciekawą intrygę Marin'ów. Swea istotnie przyszła do Marty wtedy, kiedy ja pisałem tam list. Otworzyłem, ponieważ wiedząc że starano się poróżnić ją z Martą, chciałem je pogodzić.

Bez wątpienia przyszła pokryjomu i musiała pokonać niezliczone trudności.

W ten sposób donosiłem zarazem Marcie, że uczucie Swei nie uległo w stosunku do niej zmianie. Zakończyłem pisząc jakim pokrzepieniem była dla mnie możliwość pomówienia o Marcie z jej najbliższą przyjaciółką.

Przeklinałem miłość, ponieważ zdawało mi się, że wskutek niej nie możemy sobie zdawać sprawy ze swoich czynów. A ja tak chętnie zgodziłem się nie zdawać z nich sprawy, ani sobie, ani innym!

Musi być jednak w miłości coś czynnego, mówiłem sobie, skoro nikt nie waha się składać swojej wolności w jej ręce. Pragnąłem jaknajprędzej stać się dość silnym, żeby móc się jej oprzeć. Nie wiedziałem, że z dwójga złego lepiej jest być niewolnikiem serca niż zmysłów.

Kochanek wszystkie požądania jakie w nim się zrodzą przynosi kochance, jak pszczoła miód do swego ula. Nie potrafiłem wtedy siebie oszukiwać i wmawiać w siebie ciemność, jak to czynią niektórzy słabi ludzie. Jeżeli ktoś pożąda dziewczyny publicznej i przeleje to pragnienie na kobietę, którą kocha, to wówczas ona ma złudzenie że jest kochana stokroć bardziej, ponieważ się spotyka z pożądaniem niezaspokojonym. W gruncie rzeczy kochanek ją zdradza, ale nikt mu tego nie może mieć za złe. W ten sposób zaczyna się rozpusta. Nie należy sądzić zaprędko niektórych ludzi zdolnych zdradzać kochankę w okresie najmocniejszej miłości; nie należy uważać ich za lekkomyślnych. Poprostu unikają oni oszukiwania samych siebie i odróżniają szczęście od przyjemności. Marta w duchu pragnęła mi przebaczyć. Odpowiedziała mi prosząc, żebym zapomniał o jej liście. Przebaczyłem jej ale nie bez podkreślenia urazy. Do gospodarza napisała prosząc ironicznie, żeby pozwolił mi, w czasie jej nieobecności, otwierać drzwi jej przyjaciółkom.

Kiedy Marta w końcu sierpnia powróciła z Grauville, zamieszkała nie w I..., ale w domku rodziców, którzy byli jeszcze na wsi.

W tem nowem otoczeniu, gdzie upłynęło całe życie Marty odżyłem na nowo. Zmęczenie i tęsknota za samotnym snem znikły bezpowrotnie. Wszystkie noce spędziłem

Sztuki plastyczne.



Kazimierz Kwiatkowski.

PORTRET.

działem u Marty. Płonałem, żyłem w pośpiechu jak ludzie, którzy mając umrzeć młodo usiłują pić rozkosz życia dwa razy prędzej. Chciałem wziąć od Marty jak najwięcej, zanim odbierze mi ją macierzyństwo.

Zamieszkaliśmy w jej pokoju panińskim, tym do którego kiedyś nie chciała wpuścić Jakóba. Jakżem był szczęśliwy kiedy, po obudzeniu w naszym wązkim łóżku moje oczy spotykały Martę ubraną jak do pierwszej komunji. Kazałem Marcie jaknajczęściej patrzeć na inną jeszcze jej podobiznę: z najwcześniejszego dzieciństwa — poto, żeby nasze dziecko było do niej podobne. Snułem się jak cień po tym domu, który widział jak się urodziła i rozkwitała. Na strychu między rupieciami znalazłem jej starą kołyskę; prosiłem Martę żeby z niej teraz jeszcze korzystała. Wyjąłem z ukrycia jej dziecinne koszulki i majteczki, relikwie Grangier'ów.

Nie żałowałem mieszkania w I..., jego meble miały mniej uroku niż to tak strasznie brzydkie umeblowanie rodzinnego domu Marty. Tamte nic mi nie mogły powiedzieć — tutaj przeciwnie o niej mówiły mi wszystkie krzesła i stoły. A prócz tego żyliśmy sami, bez gospodarza i radcy miejskiego. Nie krępowaliśmy się niczem, jak dzicy, chodziliśmy po ogrodzie prawie nago jak na wyspie bezludnej. Godzinami leżeliśmy na trawie, jadaliśmy w altanie obrośniętej winem i powojem. Usta przy ustach odbieraliśmy sobie zebrane przed chwilą śliwki popękane, ciepłe od słońca. Pomimo próśb ojca nigdy nie chciałem zajmować się naszym ogrodem, ale ogród Marty pielęgnowałem starannie. Gracowałem ścieżki, wyrwałem chwasty. Wieczorem po upalnym dniu odczuwałem upajającą dumę mężczyzny, który gasi pragnienie ziemi i omdlałych kwiatów i zaspakaja pożądanie kochającej go kobiety. Dotychczas uważałem dobroć za rzecz nieco głupią, teraz pojąłem jej wartość. Kwiaty rozwijające się dzięki moim staraniom, śpiące w cieniu, kury nakarmione przezemnie — ileż dobroci! Ile egoizmu! Zwiędłe kwiaty, chude kury wniosłyby smutek na naszą wyspę miłości. Woda i ziarno służyły raczej mojej przyjemności niż kwiatom i kurom.

Moje odrodzone serce zapomniało o niedawnych przeżyciach. Sądziłem, że skończyła się rozpusta, a miejsce jej zajęła czysta miłość, a przecież zetknięcie się z domem rodzinnym Marty i rozkosz, jaką z tego powodu odczuwałem, nie była niczem innym jak rozpustą. W każdym bądź razie ten ostatni tydzień sierpnia i cały wrzesień są jedynym w moim życiu okresem niezmaconego szczęścia. Nie oszukiwałem, nie dręczyłem Marty ani siebie. Nie widziałem żadnych przeszkód przed sobą. W siedemnastym roku życia marzyłem o takim trybie życia, o jakim myśli się zwykle na starość. Zamieszkamy na zawsze na wsi, zostaniemy zawsze młodzi.

Leżąc w trawie obok Marty i pieszcząc jej twarz zdźbłem trawy, opowiadałem powoli, poważnie jakie będzie nasze przyszłe życie. Marta od chwili powrotu szukała dla nas mieszkania w Paryżu. Oczy jej zamglily się kiedy powiedziałem, że chcę zamieszkać na wsi: „Nigdy nie odważyłabym się tego proponować — odparła, sądziłam, że znudziłoby cię życie sam na sam ze mną, że potrzebujesz miasta“. Jakżeż mało mnie znasz, odpowiedziałem. Dodałem, że chcę zamieszkać w Maudres. Kiedyś na spacerze z Martą uderzeni byliśmy niezwykłą ilością i zapachem hodowanych tam róż. Innym razem wracając ostatnim pociągiem z obiadu w Paryżu poczuliśmy ten sam odurzający zapach. Ze stojącego na dworcu pociągu robotnicy wyładowywali olbrzymie skrzynie rozlewające woń kwiatów. To był ten tajemniczy pociąg, o którym słyszałem od dzieciństwa, który przejeżdża wtedy, kiedy dzieci jeszcze śpią.

Marta mówiła: róże kwitną tylko latem, czy nie obawiasz się, że z czasem Maudres znudzi cię? Czy nie le-

piej wybrać miejsce mniej piękne, ale zato o trwalszym uroku?

Dwa miesiące szczęścia przysłały mi pozostałe dziesięć. Jeszcze jeden dowód jak kruche były podstawy naszej miłości.

Często pod pozorem spacerów z kolegami i zaproszeń do znajomych opuszczałem obiady w F.. i zostawałem u Marty.

Pewnego popołudnia zastałem u niej jakiegoś młodego lotnika. Był to jej brat cioteczny. Ze względu na jego obecność przywitałem się chłodno, ale Marta bez ceremonji podeszła i pocałowała mię w usta. Kuzyna rozśmieszyło moje zmieszanie. „Przed Pawełkiem mój drogi, nie potrzebujesz niczego ukrywać, powiedziała Marta. Opowiedziałam mu wszystko“. Byłem zażenowany ale szczęśliwy, że Marta przyznała się kuzynowi, że mnie kocha. Czarujący i sympatyczny kuzynek, który nigdy nie myślał o niczem, prócz swego munduru, wydawał się zachwycony naszą miłością. Uważał ją za znakomity figiel spleatany Jakóbowi, a Jakóbem, który nie był ani lotnikiem, ani bywalcem knajp, pogardzał.

Paweł wspominał dzieciństwo spędzone wspólnie w tym ogrodzie. Wypytywałem się z zaciekawieniem o szczegóły, ukazujące mi Martę w nowym, niespodziewanym świetle. A jednocześnie zasmuciła mnie ta rozmowa. Byłem tak blisko dzieciństwa, że doskonale pamiętałem zabawy nieznane starszym, którzy zapominają o nich, albo ich się wstydzą. Czułem się zazdrosny o przeszłość Marty.

Ze śmiechem opowiedzieliśmy Pawłowi o nienawiści gospodarza i o raucie Marin'ów. Rozbawiony zaproponował nam korzystanie z jego garsoniery w Paryżu.

Zauważyłem, że Marta nie miała odwagi przyznać się do naszego projektu zamieszkania razem. Wyczuwałem, że Paweł był po naszej stronie póty, póki naszą miłość uważał za zabawkę, ale w razie skandalu, byłby przeciw nam — razem ze wszystkimi.

Marta nakryła do stołu. Służba wyjechała z panią Grangier, ponieważ Marta udawała, że uznaje tylko tryb życia à la Robinson. Rodzice zgodzili się zostawić Martę samą, ponieważ uważali ją za „romantyczkę“, a sądzili, że „romantyką“, jak warjatom, nie można sprzeciwiać się w niczem.

Długo siedzieliśmy przy stole. Paweł wydobywał jedną po drugiej najlepsze butelki. Byliśmy weseli, choć później żałowaliśmy naszej wesołości, ponieważ Paweł zachowywał się jak powiernik pierwszej lepszej „zdrady małżeńskiej“. Wyśmiewał Jakóba. Mogłem dać mu do zrozumienia, że postępuje nietaktownie. Woląłem jednak wtórować mu niż zrazić tego miłego i łatwego w obsłudze kuzyna.

Kiedy uprzytomniliśmy sobie godzinę, ostatni pociąg do Paryża już odszedł. Marta zaproponowała Pawłowi żeby został na noc — zgodził się. Spojrzałem na nią pytająco. Odpowiedziała mi: „Oczywiście ty, mój drogi zostajesz także“. Kiedy na progu naszego pokoju Paweł powiedział nam „dobranoc“ najnaturalniej w świecie całując Martę w oba policzki, wydało mi się, że jestem we własnym domu i goszczę u siebie kuzyna żony.

Zbliżał się koniec września. Przeczucwałem, że gdy opuszczę, ten dom skończy się nasze szczęście.

Jeszcze kilka miesięcy i będziemy musieli wybierać: Czy wyznać wszystko otwarcie, czy żyć dalej w kłamstwie. Byliśmy niezdolni ani do jednego, ani do drugiego. Obawiałem się, żeby rodzice Marty nie zerwali z nią przed poślubiem, zdobyłem się więc na odwagę i zapytałem ją, czy wie już o jej ciąży. Odpowiedziała twierdząco, dodając

że uprzedziła również Jakóba. A więc okłamała mnie: w maju po jego pobycie przysięgała mi, że jej nie posiadał!

Dnie były coraz krótsze, chłód wieczorny przerwał nasze spacery. Trudno nam było widywać się w I...; żeby uchronić się od skandalu, musieliśmy być ostrożni jak złodzieje, czekając na ulicy na stosowną chwilę gdy gospodarz i Marin'owie opuszczają mieszkanie.

Podczas tych smutnych wieczorów październikowych chłodnych, ale nie na tyle żeby palić w piecu kładliśmy się do łóżka o 5 ej popołudniu. Dla moich rodziców łóżko w dzień oznaczało chorobę; to też byłem oczarowany tą nowością. Nie przepuszczałem żeby ktokolwiek oprócz nas mógł to samo robić. Marta i ja byliśmy we dwoje, nieruchomi, bezczynni pośród czynnego świata. Kiedy Marta rozbierała się patrzyłem na nią z ukrywanym przestachem. Czy jest w tem coś dziwnego? Uczuwałem wyrzuty sumienia—wydawało mi się, że ją sponiewierałem. Widząc jak niknie uroda Marty, jak powiększa się jej brzuch, uważałem się za barbarzyńcę. Na początku naszej miłości mówiła mi kiedy ją gryzłem „Naznacz mnie“. I oto naznaczyłem ją — w najgorszy sposób.

Teraz Marta była dla mnie nie tylko istotą najbardziej kochaną (co nie znaczy najlepiej kochaną)—była dla mnie wszystkim. Zapomniałem o swoich przyjaciółach, a nawet unikałem ich, wiedząc, że uważają za swój obowiązek nakłaniać nas do porzucenia tego, co dla nas jest najcenniejsze. Zawsze przecie przyjaciele sądzą, że kochanka nasza jest nieznośna i nas niegodna, jeśli zmieniają zdanie to tylko w tym wypadku jeśli chcą nas z nią zdradzić.

Ojciec był zaniepokojony. Dotychczas brał mnie w obronę przed matką i ciotką teraz więc groziły mu wymówki bez końca zato, że nie dał się przekonać wcześniej. Został sprzymierzeńcem matki ale nie przyznawał się jej do tego. Zato w rozmowie ze mną, zapowiadał, że jest gotów na wszystko byle rozłączyć mnie z Martą. Obiecywał zawiadomić jej rodziców i rodziców jej męża, lecz już następnego dnia nie wtrącał się wcale do moich spraw.

Znałem jego słabość. Korzystałem z niej. Probowalem nawet się bronić. Zarzucałem mu to samo co matka i ciotka: zapóźno zdecydował się skorzystać ze swych praw. Czyż nie on zapoznał mię z Martą? Ojca bolało to tem więcej, że sam to sobie wyrzucał. W całym domu ponowała tragiczna atmosfera. Ojciec już przewidywał, że niezadługo młodzi moi bracia nie będą go chcieli słuchać powołując się na mój przykład.

Dotychczas ojciec uważał mój stosunek z Martą za zwykłą miłość, ale oto matka znalazła jeden z naszych listów. Zniosła mu ten „dowód rzeczowy“ Marta pisała o naszej przyszłości i o naszym dziecku.

Dla matki wciąż jeszcze byłem małym dzieckiem. Nie mogła pojąć, że dzięki mnie mogłaby zostać babką. W gruncie rzeczy była najmocniej przekonana, że nie byłem ojcem dziecka Marty: była przecież za młoda, żeby zostać babką.

Uczciwość może się łączyć z najbrzydszemi uczuciami. Matka w swej głębokiej uczciwości nie mogła pojąć jak kobieta może zdradzać męża. Podobny krok wydawał się jej roznustą niemającą nic wspólnego z miłością. To że byłem kochankiem Marty dowodziło w oczach matki, że Marta musiała mieć jeszcze innych. Ojciec wiedział jak fałszywem było to rozumowanie, ale używał go, żeby podkopać moje zaufanie do Marty i pomniejszyć ją w moich oczach. Napomknął że tylko ja o tem „nie wiem“.

Sztuki plastyczne.



André Derain.

PAYSAGE.

Odpowiedziałem, że rzucają na Martę oszczerstwa z powodu jej miłości dla mnie. Ojciec w obawie żeby jego słowa nie wywarły skutku odwrotnego niż zamierzał, zapewnił mnie, że pogłoski te poprzedzały naszą miłość a nawet małżeństwo Marty.

Zwykle przez parę dni ojcu udawało się zachować spokój i godność, ale w końcu tracił cierpliwość i posyłał do Marty pokojówkę z adresowanym do mnie listem, w którym nakazywał mi natychmiast wracać do domu, w przeciwnym razie, groził, zawiadomieniem policji o mojej ucieczce i oskarży panią L. o uwiedzenie nieletniego.

Marta ratowała pozory, udawała zdziwienie mówiła pokojówce, że list doreczy mi przy najbliższej sposobności. Wracałem po jakimś czasie przeklinając swój wiek-

Ten wiek nie pozwalał mi rozporządzać sobą. Ojciec i matka witali mnie milczeniem. Wertowałem kodeks w poszukiwaniu artykułu dotyczącego się nieletnich. Nie mogłem uwierzyć żeby moje postępowanie mogło zaprowadzić mnie do domu poprawczego. W końcu po bezowocnych poszukiwaniach w kodeksie, zabierałem się do Larousse'a w którym dziesięciokrotnie odczytywałem artykuł „małoletni” nie znajdując nic coby się mogło do nas odnosić.

Następnego dnia ojciec znów zostawiał mi swobodę. Przyczyny tego postępowania były bardzo proste: najpierw ojciec pozwalał mi postępować według woli. Potem wstydził się swojej słabości. Gniewał się i groził niezadowolony raczej ze siebie niż ze mnie. Wreszcie z kolei wstydził się swojego gniewu i znów wszystko zostawało po dawnemu.

Podejrzenia pani Grangier obudziły się po powrocie ze wsi, gdy sąsiedzi, udając, że uważają mnie za brata Marty, zapoznali ją z całym naszym życiem. Z drugiej strony Marta nie mogła się powstrzymać, żeby nie wspominać mnie przy każdej sposobności, powtórzyć coś, co powiedziałem, lub opowiedzieć coś, co zrobiłem. To też pani Grangier bardzo prędko zyskała pewność, kto był owym bratem Marty

Narazie przebaczała wszystko, pewna, że koniec wszystkiemu położy przyjsie na świat dziecka, za którego ojca uważała ciągle Jakóba. Przed panem Grangier zataiła całą sprawę poprostu ze strachu przed jego gniewem, uważała jednak, że postąpiła tak wspaniałomyślnie, że bezwzględnie musi w to wtajemniczyć Martę.

Chciała jednak, żeby Marta sama się domyśliła, że ona wie o wszystkim i zaczęła snuć domyslniki tak niezręcznie, że w końcu pan Grangier poprosił ją żeby zostawiła w spokoju biedną małą, gdyż te ustawiczne podejrzenia mogą jej w końcu przewrócić w głowie. Pani Grangier odpowiedziała na to uśmiechem — chciała podsunąć mężowi myśl, że córka jej coś wyznała.

Sądzę, że pani Grangier, gdyby nawet zdecydowanie potępiała córkę, wzięłaby ją niechybnie w obronę wobec męża i zięcia, poprostu tylko dlatego, żeby się im sprzeciwić. W gruncie rzeczy zresztą pani Grangier podziwiała Martę zato, że zdradza swego męża — ona sama nie odważyła się nato nigdy, czy to przez skrupuły, czy z braku sposobności. Córka jej mściła się za to, że była niezrozumiana przez męża. Oburzała się tylko, że przedmiotem miłości był młody chłopak, który przecież nie mógł pojąć „subtelności kobiecą”.

Państwo Lacombe, których Marta odwiedzała coraz rzadziej, mieszkali w Paryżu i nie podejrzewali niczego. Marta wydawała się im tylko coraz dziwniejsza i nie podobała się coraz więcej. Niepokoili się o przyszłość i zapytywali siebie jak to małżeństwo będzie wyglądało za parę lat. Wszystkie matki marzą o małżeństwie synów, ale synowie nigdy nie znajdują ich uznania. Matka Jakóba współczuła mu, że ma „taką” żonę. Niechęć panny Lacombe płynęła stąd: Marta posiadała tajemnice pewnej dość daleko posuniętej idylli w kąpielach morskich, idylli, o której bohaterka jej wolałaby zapomnieć. Panna Lacombe przepowiadała małżeństwu brata jaknajgorszą przyszłość i twierdziła, że Marta bezwzględnie będzie Jakóba zdradzać, o ile przypadkiem nie stało się to już dotychczas.

Zaciekłość żony i córki zmuszała czasem pana Lacombe do brania w obronę synowej: pocziwina lubił Martę. Wtedy matka i córka zamieniały porozumiewawcze spojrzenia. Spojrzenie pani Lacombe znaczyło: „Widzisz moja mała jak tego rodzaju kobiety umieją zawracać głowę mężczyznom”. Spojrzenie córki: „Oto dłacz-

go nie mogę wyjść za mąż — gdybym była taką Martą!” W rzeczywistości poprostu biedaczka wychodziła z założenia, „że każdy czas ma swoje obyczaje, a nowoczesne małżeństwa zawiera się w inny sposób niż dawniej” i odstraszała kandydatów na męża, nie okazując zbyt wiele oporu. Jej nadzieje na małżeństwo trwały zwykle przez cały sezon kąpielowy. Młodzi ludzie obiecywali natychmiast po powrocie do Paryża zjawić się z prośbą o jej rękę, a potem nie dawali znaku życia.

Panna Lacombe, której groził czepeczek św. Katarzyny, czuła do Marty urazę zato, że ta tak łatwo znalazła męża. Pocieszała się mówiąc, że tylko taki głuptas jak jej brat mógł dać się złapać.

Pomimo wszelkich podejrzeń nikt w rodzinie Marty ani przez chwilę nie przypuszczał, że Jakób nie jest ojcem dziecka Marty. Gniewało mnie to. Chwilami nawet obwinałem Martę, że tylko przez tchórzostwo nie powiedziała dotychczas prawdy. Nie zdając sobie sprawy jakim ciosem będzie dla pani Grangier fakt, że ja jestem ojcem dziecka Marty, przypuszczałem naiwnie, że w dalszym ciągu będzie pobłażliwie zamykać oczy.

Burza zbliżała się. Ojciec groził wysłaniem pewnych listów do pani Grangier. Chciałem żeby spełnił tę groźbę. Potem rozmyśliłem się. Pani Grangier ukryje prawdopodobnie listy przed mężem. A gdyby nawet pokazała mu je, to w interesie ich obojga leży żeby unikać skandalu. A ja chciałem, żeby się już wszystko wyjaśniło. Ojciec powinien te listy wysłać wprost do Jakóba!

Kiedy ojciec w gniewie powiedział mi, że to już się stało, o mało nie rzuciłem się mu na szyję. Nareszcie! Nareszcie! Wyręczył mnie i powiadomił Jakóba o wszystkim. Współczułem ojcu, że uważa moją miłość za tak słabą. A przytem wysłanie tych listów, położy koniec listom Jakóba, który unosi się w nich nad naszym dzieckiem. Rozdrażniony, zapomniałem zupełnie, że przecież ten krok był niemożliwy. Zrozumiałem to dopiero nazajutrz kiedy ojciec uspokojony już, przyznał się do kłamstwa chcąc mnie, jak sądził, pocieszyć. Uważał, że byłoby to nieludzkie. Zapewne. Ale jaka jest różnica pomiędzy ludzkim, a nieludzkim?

Nerwy moje były już zupełnie wyczerpane. Zbyt trudnem było dla młodego chłopca znaleźć się w położeniu dojrzałego mężczyzny.

Oprócz Marty nic mnie wtedy nie obchodziło. Zapomniałem, że ojciec mógł również cierpieć. Wyobrażałem sobie, że wojna pomiędzy nami została wypowiedziana. I odtąd deptałem swoje obowiązki synowskie nie tylko przez miłość ale — wstyd mi się przyznać — dla odwetu.

Nie zwracałem już uwagi na listy, które ojciec przysyłał do Marty — ona sama musiała mnie namawiać do wcześniejszego powrotu do domu, do rozsądniejszego zachowania. Oburzałem się „więc i ty jesteś przeciwko mnie”. Zaciskałem zęby, tupałem nogami. Marta była przekonana, że miłość moja była tak silna, że nie mogłem znieść myśli o kilkugodzinnem rozstaniu. Pewność, że jest kochaną dawała jej stanowczość, jakiej dotychczas nigdy w niej nie dostrzegłem. Wiedząc, że z pewnością będę myślał o niej, nastawała żebym szedł do domu.

Prędko zorientowałem się skąd przyszła jej siła. Zmieniłem taktykę. Udawałem, że ustępuje jej rozumowaniom. A wtedy Marta cofała się. Na widok mojej rozwagi, (a może obojętności), chwytła ją obawa, czy

aby nie kocham jej mniej. Teraz znów Marta sama prosiła mnie żebym został.

Jednak któregoś dnia zawiódł i ten wybieg. Od trzech dni już nie byłem w domu, a zapowiadałem Marcie, że spędzę u niej jeszcze jedną noc. Marta usiłowa-

ła mnie odwieść od tego zamiaru. Kiedy pieszczoty i groźby nie pomogły, spróbowała podstęp. Oświadczyła, że jeżeli nie wrócę do domu, to ona pójdzie nocować do swoich rodziców.

(D. c. n.)

ILJA ERENBURG

3)

FAJKA AKTORA.

(Z cyklu „13 fajek” nowela VI).

Z upoważnienia autora przełożył Kaz. Andrzej Jaworski.

Wkrótce ukazały się pionowe skały new-yorskich budowli i nic nie przypominało zapomnianych wilków, wyjących gdzieś w lasach Kanady. Nawet reszta dolarów, związanych do pewnego stopnia z ich wyciem, znikła. Zaczęły się zwykłe dni pozbawionego pracy aktora.

Często George, przechodząc obok niedostępnych restauracyj, pożądliwie myślał o smacznej polewce, którą w milej chacie śliczna Mary gotowała myśliwcowi Tomowi. A Mary stawała się wciąż gorsza i gorsza: chciała dostać suknię, naszyjnik i trumeau z lustrem. Ostatnie było absolutnie niezbędne, ażeby Mary mogła zobaczyć o ile jest piękna nawet bez nowej sukni. Wszystko to można było kupić — i sklepów w New-Jorku było bardzo dużo, ale w każdym z nich źli ludzie żądali wzamian dolarów, tak samo jak oszust Jourse żądał za lusterko i paciorki skóry niebieskiego lisa i George nie mógł podarować trumeau nadasanej Mary. Mary teraz często płakała i wyrzucała George'owi, że jest złym aktorem, że nie umie odróżnić kina od życia i zbliża się do świętej sztuki z nędznymi manierami zazdrośnika. George rozumiał, że jest winien i przysięgał, że w przyszłości będzie mądrzejszy. Podczas długich dni pozbawionego pracy aktora myślał wiele i myśląc doszedł do wniosku, że wszystko, co się dzieje naokoło — to są różne filmy lepszych i gorszych firm. George przygotował się gruntownie do nowych zdjęć i teraz nawet najlepsza firma „W—W” mogłaby podpisać z nim kontrakt.

Ale dzieje filmu „Ludzie i wilki” obeszyły wszystkie amerykańskie gazety i kiedy George proponował swoje usługi, śmiano się z niego tak samo, jak śmieli się lokaje z „Aleksandrji” z biednego Toma, zapominając o tem, że smutna Mary pragnie lustrzanego trumeau.

Razu pewnego rano Mary powiedziała mężowi, że idzie do aktora Wiliama Pockera, który pracuje w firmie „W—W”, prosić go, aby wyrobił jej rolę bohaterki, a niezdolnemu Georgeowi miejsce statysty. Mary poszła rano i długo nie wracała. Pod wieczór zaniepokojony George udał się za nią. Pocker mieszkał na siedemnastym piętrze, i patrząc z okien salonu na pionowe skały domów, George pomyślał, że reżyser firmy „W—W” zna różne trucie i umie zręcznie podrabiać miasto. Usłyszawszy hałas podobny do trzasku aparatu, George przyszedł do wniosku, że robi się zdjęcie. Rzeczywiście nie omylił się. Mary siedziała na kolanach Wiliama. Całowali się zupełnie naturalnie, wykazując przytem dobrą szkołę. Każdy profan zrozumiałby, że robią to naprawdę, ale George znał wszystkie subtelności kina. Scena miłosna tak mu się podobała, że nie wytrzymał i krzyknął:

— Brawo! Warte „W—W”!

Wtedy przerażona Mary zapinając suknię, skryła się za portjerę, a Wiliam Pocker, rozwścieczony, uderzył George'a w twarz, uderzył bardzo teatralnie, ale i bardzo boleśnie. George pomyślał — jaki to śmieszny scenariusz i zaczął rozmyślać, czy to komedia, czy dramat i jak powinien postąpić. Skłaniając się do myśli, że Wiliam i Mary grają w dramacie, uderzył również swego przeci-

wnika. Wówczas Wiliam Pocker wy dostał z szafy dwa pistolety i jeden z nich podał George'owi. Było zupełnie jasne, że George się nie omylił i że to dramat uczuciowy. Tym razem George zachował zupełny spokój i wiedząc, że pistolety i strzelby w kinematografie tylko hałasują, ale nikogo nie zabijają, wycelował pozornie, starając się zrobić to jak można najefektowniej.

Wiliam Pocker upadł tak samo jak w hotelu „Aleksandrja”, ale tym razem już nie zezował swemi żółtymi oczyma i Mary nie uśmiechała się, lecz z krzykiem „zabójca!” zaczęła głośno płakać.

Chociaż George rozumiał, że łzy Mary to są łzy kinematograficzne, ale mimo to zmieszał się, gdyż nie mógł widzieć jej łez.

— Mary, ja dobrze zagrałem i teraz dostaniesz lustrzane trumeau!...

Wkrótce przyszli statysci w policyjnych mundurach i wyprowadzili George'a. W domu, w którym go umieszczono dla dalszych zdjęć, było dużo jednakowych drzwi z cyframi jak w hotelu „Aleksandrja”. Ale był to dom bardzo niewygodny i George musiał tam wiele wycierpieć. Żałował już nawet belki wagonu. Jedyną jego towarzyszką, słodzącą mu ciężkie dni, była fajka. Palił ją i rozkoszował się nią jak prześlicznym wynalazkiem naukowym. Coprawda w domu, w którym się znajdował, nie było zupełnie wiatru, ale George rozumiał, że powinien jak żołnierz na wojnie być gotowym każdej chwili rzucić się do wody, lub wzniesć się w powietrze.

Mijały dnie za dniami i George zaczął tęsknić. Kazali mu grać w bardzo wolnym i nudnym filmie, który z pewnością będzie wyświstany. „W — W” okazała się niespodziewanie złą firmą.

Wreszcie reżyser przystąpił do zdjęcia następującej sceny. Razem z Georgem grało wielu statystów w sędziowskich biretach. Główny z nich był to aktor, który przeniósł się do „W—W” z „A.S.U.” i który kiedyś grał rolę znanego oszusta Jourse'a i zuchwałego lokaja z hotelu „Aleksandrja”.

Zobaczywszy na sali Mary, grającą jakąś drugorzędną rolę, George krzyknął:

— Mary, gram przez ciebie. Bardzo mi trudno. — „W—W” wymyśliła okropne warunki!...

Ale Mary mu nic nie odpowiedziała. Wykonywując starannie swą rolę, zakryła twarz chusteczką i odwróciła się.

George został odwieziony z powrotem do nędznego hotelu i znów ciągnęły się jednostajne dni. Nie mogą wytrzymać, George napisał do reżysera firmy „W—W”, że długie przerwy między zdjęciami przygnębiają go i że żąda przyspieszenia tempa pracy. Reżyser zgodził się z nim i oznajmił mu przez statystę, przebranego za dozorcę, że jutro nastąpi zdjęcie ostatniego epizodu.

George'a obudzono w nocy. I biedny aktor George Randy wiedział, że teraz znajdzie się na właściwym stanowisku i nie przesadzi w grze. Pozazdrości mu sam „król ekranu” którego niewzruszona maska spogląda z plakatów pięciu lądów — japoński mimik Sako Hakajawa.

Miejsce zdjęcia podobało się George'owi. Lubił na ekranie wszystkie zdobycze współczesnej techniki: masywne tanki i kieszonkowe telefony, uroczyste obeliski maszyn, podnoszących ciężary i leciutkie wyścigowe monoplany. Kiedy go wprowadzono do pokoju od razu ocenił wielkość i piękno dekoracji: gołe ściany, trzy elektryczne lampki o niezwyklej sile i duży fotel, przypominający trochę dentystyczny, ale bardziej skomplikowany i przekonujący. George zrozumiał, że firmy „W—W” nie mogą rzeczywiście powstrzymać żadne wydatki. W scenie brali udział oprócz George'a jeszcze dwaj drugorzędni aktorzy: jeden grał rolę pastora, drugi, ubrany cały na czarno, wykonywał jakąś niezupełnie zrozumiałą dla George'a rolę.

Obecny przy tem reżyser firmy „W—W” w wysokim cylindrze polecił George'owi zachować spokój. Ale aktor George, który nabrał doświadczenia w wielu trudnych zdjęciach, nie potrzebował tych uwag. Rozumiał, że gra dla filmu, który będzie demonstrowany przed milionami ludzi w New-Jorku i w Rzymie, w Moskwie i w Tokio. Siedział uroczyście na wysokim fotelu, jak sędzia starożytnych plemion. Nagle przypomniał sobie, że przez drobną nieostrożność omal nie zepsuł filmu, i ze smutkiem odrywając od ust niedopaloną fajkę, powiedział:

— Weźcie ją: dym może zasłonić mi twarz.

Siedział i myślał o tem, że teraz Mary będzie miała wszystko i Mary wróci znów do porzuconego myśliwca Toma. Pojadą daleko, do Kanady, do lasu, gdzie zostały zapomniane sędziwe wilki. George myślał o tem, że jednak wilki są lepsze od ludzi, nie mają bowiem takich trudnych filmów. I gdy tok już dotknął pleców wielkiego aktora George'a Randy — myśliwiec Tom jeszcze raz szepnął:

— Mary, ty do mnie wrócisz?..

A fajkę według specjalnego modelu, przeznaczoną dla szoferów, pilotów i marynarzy, wziął na szczęście drugorzędny aktor, ubrany na czarno, wykonywający niezupełnie zrozumiałą rolę. Wkrótce aktor wyjechał do Pikardji, gdzie robiono zdjęcia z wielkiej wojny. Grał on tam niedługo. Ocalała fajka dostała się do mych rąk. Ja gram jeszcze i, zdaje się, nieostatni epizod. Zdarza mi się często palić tę udoskonaloną fajkę przy zupełnie bezwietrznej pogodzie. Ale reżyser firmy „W — W” może być spokojny — nie zepsuję filmu i w odpowiedniej chwili krzyknę:

— Weźcie! Dym może zakryć twarz...

Z ruchu wydawniczego.

„FRYDERYK CHOPIN”.

Karol Szymanowski „Fryderyk Chopin”.

Warszawa 1925. Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska”

Na 73 stronach swojego studjum, Szymanowski daje nam zgoła odrębny pogląd na Chopina.

Szymanowski sądzi, że należy „ponownie odkryć” Chopina, tak jak to w swoim czasie miało miejsce ze Słowackim. Stosunek Chopina do współczesnej mu twórczości muzycznej był negatywny. Z obojętnością traktował Beethovena, Szumana, Berlioza — uwielbiał tylko Mozarta.

Szymanowski znajduje ogromnie dużo pokrewieństwa między dość odległymi od siebie dwoma genjuszami muzycznymi. My wiążemy Chopina ciągle z epoką romantyzmu. Twórczość jego często tłumaczymy sobie ówczesnym tłem dziejowym. Tymczasem dla współczesnych był Chopin raczej modnym, niż zrozumiałym. Chopin o wiele wyprzedził swoją epokę i dopiero dziś jest nam bliski.

W epoce romantyzmu artysta „w ówczesnym olbrzy-

miem rozszerzeniu życia” stawał w jego centrum, brał czynny udział. Był związany z treścią dramatyczną własnej epoki. Sztuka była dlań tylko niemal środkiem, zaś problemat czystej sztuki jej obiektywna wartość była na drugim planie. Najsilniej zaznacza się to u Wagnera.

Twórczość Chopina jest pozbawiona doszczętnie tego elementu i w tym sensie ma właśnie dużo wspólnego z twórczością Mozarta. Albowiem wielkość obydwóch leży w doskonałości form czystych.

Wyzwolenie się ze wszystkich przypadkowości — stanowi istną głębię muzyki Chopina.

Dla Szymanowskiego bowiem najważniejszą w twórczości jest „jak”, a dopiero potem „co”. Tylko w tem udoskonaleniu formalnej strony, w tem niewiązaniu się z epoką, a utrwalaniu form nieprzemijających, wieczystych w tem Szymanowski widzi doskonałość twórczości muzycznej. Taką właśnie była twórczość Chopina. I dlatego nawet Wagner usuwa się w cień przeszłości — a Chopin trwać będzie wiecznie.

Ten pogląd na twórczość muzyczną zrodził się już przed laty dwudziestu we Francji — kiedy ogólny prąd antyromantyczny objął i muzykę. Ponieważ głównym siedliskiem muzyki romantycznej były Niemcy — przeto psychologicznym podłożem walki — był prąd antyniemiecki. Zaczęto wyzwalać się z kręgu niemieckiej „wzruszeniowości”. Na tem tle zaczął się rozkwit muzyki we Francji — a w tym ruchu olbrzymią rolę odegrał Chopin. I dlatego stał się uwielbianym artystą dzisiejszego pokolenia muzyków.

Swoje studjum kończy Szymanowski określeniem polskości Chopina. Nie polega ono na tem, że Chopin pisał mazurki i polnezy, lecz, że jako Polak odzwierciedlał w nich istotę ówczesnego — tragicznego załamania się dziejów narodu, a dążył instynktownie do ujęcia, ponad dziejowego, niejako najgłębszego wyrazu swej duszy. Takby chciał Szymanowski widzieć przyszłą muzykę polską.

W ogólnych poglądach na twórczość muzyczną ujął Szymanowski syntetycznie to wszystko, co już nieraz wypowiadał w licznych artykułach polemicznych.

Nowe pismo poświęcone architekturze.

Ukazał się № 1 miesięcznika „Architektura i Budownictwo” pod redakcją inż. arch. Zygmunta Wóycickiego. Na treść numeru składają się następujące artykuły: Jerzego Beilla — Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie, Romana Felińskiego — O planach regulacyjnych miast i osiedli. Aleksandra Ranieckiego — Konkurs na gmach Muzeum Narodowego w Warszawie, Zygmunta Słomińskiego, — Plan rozbudowy m. st. Warszawy, w dziesięciolecie od 1925—1935 r. i inne. Szereg wydarzeń aktualnych z dziedziny budownictwa współczesnego u nas i zagranicą znajduje swe odbicie w obfitej kronice. Zeszyt wydany wytwornie, na papierze kredowym zawiera ponadto kilkadziesiąt ilustracji oraz projektów i planów architektonicznych.

